

Poezja
Dawida Ryll



Siostra zakonna, michalitka (Miejsce Piastowe). Poetka, pisarka, publicystka, członkini rzeszowskiego oddziału ZLP. Absolwentka filologii polskiej i teologii (KUL). Opublikowała zbiory wierszy: *Małe wędrowanie* (1994), *Przestrzeń ofiarowana* (1995), *Bez poziomek* (1999), *Ścieżki niedalekie* (2002), *Czytanie z księgi lat* (2012) oraz powieść *Dom w cieniu skrzydeł* (wyd. I 1998, wyd. II 2008). Jej wiersze publikowane były w prasie oraz kilkunastu antologiach poezji, w tym także polsko-słowackiej i polsko-serbskiej.

Po pogrzebie Taty

Rozłączyły się linie życia
gorące telefony wystygły
rozrzedzone chłodem
samotne poranki sterczą
przy zarośniętych grządkach

A teraz
tylko czekać
pozostało

I aż żyć

Do końca

Ze snu

czasem jeszcze wybiegam ze snu
przestraszona ciszą pustego domu
odgłos cepów z klepiska
przepędza widziadła lęków

choć dziś milczy
nawet stara stodoła

klepisko mojego życia
niesie echo dzieciństwa
i oczekiwanie
że bliscy wybiegną
ze Snu

Do Kanaan

(Lb 13,1-41)

Wytańczę tę miłość
na skrzydłach motyli

Niech odrunie
z przestrzeni wolności

Inaczej
nie pokonam
olbrzymów wyobraźni
strzegących mojego lęku
Nie przekroczą granic
ziemi obiecanej

Proza

Edward Guziakiewicz

Pisarz, prozaik, absolwent KUL, członek ZLP. Tworzy w trzech nurtach: dziecięcym, młodzieżowym i fantastyczno-naukowym. Opublikował 5 powieści, 10 mikropowieści, 26 opowiadań, dramat, 2 poradniki dla młodzieży (*know-how*), jeden dla dzieci, 2 tomy wywiadów, tom eseistyki oraz kilkadziesiąt publikacji prasowych i drobnych utworów poetyckich. Należy do twórców bardzo obecnych w Internecie (www.guziakiewicz.pl). Fantastyka to główny nurt jego twórczości. Za powieść *Zdrada strażnika planety* (2009) otrzymał Złote Pióro.



BUNT ANDROIDÓW

(fragment powieści)

Oglądałem krajobraz po bitwie i z trudem poznawałem miejsca, które pożegnaliśmy przed kwadransem. [...]

Buntownicy z Galaktyki Sombro byli przystosowani do życia w takiej atmosferze jak na nieprzychylnej Wenus, więc gdy zawiodło ich wyposażenie, musieli wyciągnąć kopyta. Masywne kombinezony utraciły szczelność, a ciała rozsadziło ciśnienie wewnętrzne. Sprzątaaliśmy w tej stajni Augiasza, skrupulatnie zbierając do torusów fragmenty pancernych okryć i rynsztunku. [...]

Wyciągnięta z bagna Ka jeszcze żyła. Dogorywała jak wiekowy starzec na łożu śmierci. Rozgarnąłem gałęzie. Była w opłakanym stanie i wyglądała jak strach na wróble. Ubłocona po pas, leżała bezradna między paprociami, wspierając głowę o wystające korzenie. Z trudem oddychała. Przyssane do jej nóg czarne pijawki pracowicie kończyły swoje dzieło. Nikt z gwiazd nie mógł już przybyć jej na ratunek. Kiedy mnie usłyszała, otworzyła zapuchłe oczy, a na jej pobladłej twarzy pojawił się wyraz zapiekłej nienawiści. Pokonując bezwład, usiłowała desperacko skierować broń w moją stronę. Z wrażenia zapomniałem,

że jej oręż jest bezużyteczny i odruchowo pociągnąłem za spust, przygważdżając ją do ziemi.

Stęknęła i wygięło ją do tyłu. Siatka drobnych wyładowań elektrycznych szarpała jej szczupłym ciałem. Wreszcie znieruchomiała. Wstrząśnięty do głębi, odczekałem chwilę, jakby nie wierząc, że byłem zdolny do takiego bestialstwa, a potem pochyliłem się nad nią, żeby ostatni raz zajrzeć w przepocone, podrapane i brudne oblicze. Poskręcane w strączki włosy kleiły się do trupiobladoego czoła, a puste oczy spoglądały nieruchomo w górę.

– Trafiony, zatopiony! – cynicznie mruknąłem. – Cóż to za koniec, zdechnąć w błocie?

Groźna wilczyca była martwa. Jej serce przestało bić. Nie ocalała głowy. Ukręciła bicz na siebie i wykopała sobie grób. Piękny łabędź skurczył się i zamienił w brzydkie kaczątko. Nie rozumiałem, jak mogła tak się stoczyć. Nie wiedziała, na co się porywa? Zabrnęła w ślepa uliczkę, chociaż wszystkie atuty miała w ręku.

Odsunąłem się od niej i spojrzałem na monitor automatu. Prze-

stał pulsować żółty punkt na moim mierniku. Zastąpił go biały, wskazujący na obecność uspiętej duszy. Należało świadomość Ka dostarczyć na drugi poziom.

– Ta *donna* ścisła coś w ręce – zaafierowana Olga z iście kobiecą dociekliwością ukłękła przy zwłokach wojowniczeki. Rozwarła zaciskające się kurczowo palce dłoni. – Zobacz! – podała mi odebrany leżący drobny przedmiot.

Obejrzałem go z uwagą, a potem ostrożnie obwąchałem.

– Zatyczka od buteleczki perfum *Chanel N° 5* – wyjaśniłem

z miną Sherlocka Holmesa. I smętnie dodałem: – Biedaczka tęskniła jednak za rajem. Któż by się spodziewał?

Złośnica dała mi w kość, więc to budzące współczucie odkrycie nie wycisnęło mi łzy z oka. Wyjąłem gładki torus i beznamiętnie zassałem do niego zwłoki przegranej partnerki. Nie miała mi więcej spędzać snu z powiek, a kolejny węzeł gordyjski został rozcięty.

Rozejrzałem się dokoła. Bruno zgłosił, że trafił na dusze zbuntowanych androidów. Znalazł się po drugiej stronie bagna, więc należało poczekać, aż wróci.

Proza Michał Basamon

Absolwent II LO w Rzeszowie. Interesuje się chemią, literaturą, pisarstwem i teatrem. Publikował w „Wersie” prozę i wiersze. W przeszłości chciałby wydać powieść i tomik poezji oraz studiować w którejś ze szkół teatralnych.



Bajko-komediowa tragedia życia

(fragment)

Połąknąłem jedzenie i odczekałem jeszcze moment, by zbudować wokół nas odpowiednie napięcie. Następnie spojrzałem na kobietę przenikliwie i rzekłem bardzo powoli:

– Ta pizza... ma za grube ciasto... tak... i wyczuwam w niej aromat nieco starych warzyw... Poza tym jest źle przyprawiona.

Zamilkłem i czekałem z zimną satysfakcją, zachowując pełną powagę, na reakcję. Sprzedawczynie zbladła.

– Ale... jak... – wykrztusiła, po czym szybko rozejrzała się podejrzliwie po lokalu, sprawdzając, czy nikt mnie nie usłyszał.

– A tak, że serwuje pani niedobre pizze – odparłem niewzruszony.

– To kompletny absurd! Klienci... chwała... – rozpaczliwie próbowała się wybronić.

– Ale ja jestem klientem, a nie klientami, prawda? – przerwałem jej bezczelnie, po czym postanowiłem przejść już do głównej i właściwej ofensywy, by dopełnić brutalnego efektu. – Poza tym – rozpocząłem wolno, niewinnie – chyba dostała pani dzisiaj... – przerwałem jeszcze na moment, sztucznie wydłużając jej cierpienia, po czym dokończyłem z całą mocą i pełną ciętością języka, a jednocześnie ironicznie – grzywnę od sanepidu...

Zatkało ją na dziesięć sekund. W tym czasie kolor jej twarzy z kredowobiałego zaczął stopniowo przechodzić całą paletą barw w purpurowy, a nawet buraczany. Równocześnie łzy okropnej, bezsilnej wściekłości zaszklily się w jej pięknych oczach. W końcu złość osiągnęła punkt kulminacyjny, kobieta dłużej nie wytrzymała i spytała prawie bezgłośnie:

– Skąd... skąd wiesz?

Ja zaś pozostałem obojętnie spokojny, w duchu jednak z trudem powstrzymywałem się od wybuchnięcia śmiechem.

– Widziałem urzędnika idącego do drzwi, kiedy wszedłem tu z kolegą...

– Ach, tak... rozumiem... – odparła tak samo bezgłośnie, jak przedtem, po czym zamilkła na kolejne kilka sekund.

Przez tę krótką chwilę zburzała jeszcze bardziej i wreszcie, widocznie nie zważając już na innych klientów, krzyknęła z pełną mocą, dając upust całej swojej dzikiej furii:

– Wynocha!!! Wynocha mi stąd zaraz!

Wstałem wolno, doskonale udając zdziwienie. Wszyscy klienci patrzyli się teraz na nas, większość próbowała powstrzymać śmiech.

– Ale dlaczego? – spytałem. – Przecież jeszcze nie zjadłem i nie zapłaciłem. Nie chce pani pieniędzy?

– Nie chcę! Wynos mi się stąd, ty bezczelny gówniarzu! Wynocha! Ale już! Powiedziałam! – wskazała palcem na drzwi wyjściowe.

Zrobiłem znakomitą minę rozczarowanego dziecka, któremu nie pozwolono iść na karuzelę i wolno się ubrałem. Następnie, nie patrząc na nikogo, wyszedłem z baru, specjalnie trzaskając drzwiami, by dźwięk dzwonka jeszcze dopełnił osiągniętego efektu. Już na zewnątrz, kiedy mróz zaczął szczypać w twarz i kiedy odszedłem kawałek, napadła mnie dziwna myśl: „Dlaczego byłem aż tak bezwzględny i ani razu się nie zachwiałem? Dlaczego nie zjadły mnie tam jakieś wyrzuty, albo nie odezwała się we mnie chociaż krztyna litości i zrozumienia?” Poczułem, że nie wiem tego. Dopiero teraz było mi źle z powodu całego zajścia.

Zatrzymałem się i odwróciłem nieśmiało, straciwszy wcześniejszy żywioł, w stronę oszklonych drzwi baru. Zobaczyłem, że sprzedawczynie w bezsilności spoczęła na jednym z krzeseł i zakryła twarz w dłoniach, zapewne łkając. Pozostali klienci zaś z grzeczności powrócili do zajmowania się sobą i tym, co mają na talerzach.

Po postanowiłem pójść z powrotem do baru. Sam nie wiem, jak znalazłem na to odwagę. Cichutko otworzyłem drzwi, tak że dzwonek nawet nie zadźwięczał. Klienci natychmiast zaczęli wpatrywać się we mnie w milczeniu, z pełną powagą, czekając na to, co się stanie. Podeszedłem wolno do sprzedawczynie i dotknąłem jej ramienia. Uniosła głowę i ujrawszy mnie, zdziwiła się lekko, lecz nic poza urwanym oddechem z jej ust nie wyszło.

Zbierałem się dobrą chwilę z odpowiedzią.

– Przepraszam panią bardzo za to wszystko, co zrobiłem... – rzekłem ostatecznie. Doskonale wiedziałem, że te słowa są głównie warte w porównaniu z moim poprzednim czynem, jednak nie mogłem zbyt wiele zrobić. Wyjąłem portfel z kieszeni kurtki, a z niego trzydzieści złotych. Położyłem je na stoliku, obok kobiety. – Proszę, oto należność za pizzę. Jeszcze raz panią przepraszam, choć wiem, że to niewiele da...

Wziąłem ze stolika kawałek niezjedzonej pizzy i udałem się do wyjścia. W czasie tej krótkiej drogi poczułem, że sprzedawczynie z pewnością wodzi za mną wzrokiem spuchniętych oczu. Nie odwróciłem się już jednak. Kiedy naciskałem klamkę, usłyszałem dwa słowa, będące miodek:

– Wybaczam ci...

Przekraczając próg, odparłem:

– Dziękuję.